

# Scenograf do zadań niemożliwych

**Mieczysław Kuźmicki: - Mija pięćdziesiąt lat pana pracy dla filmu. To była realizacja marzeń, czy też nie mogło być inaczej, skoro kino obecne było w pana życiu od zawsze?**

**Allan Starski:** - Początkowo nie myślałem o tym, że znajdę swoje miejsce w tym środowisku. Traktowałem pracę dla filmu z arogancką wyższością artysty, jakim zamierzałem się stać. Chciałem robić coś dla sztuki wysokiej, prawdziwej, w odróżnieniu od działalności usługowej, jak wtedy widziałem scenografię filmową. Po studiach na Wydziale Architektury Wnętrz warszawskiej ASP miałem rozbudzone ambicje artystyczne i nie wiedziałem, jak wiele satysfakcji może dać dobrze zaprojektowana i zrealizowana scenografia i ile znaczy dla kształtu filmu, efektu, jaki on wywiera na widzach. O tym przekonałem się trochę później. Mniej więcej rok od ukończenia studiów, w 1969 r., zacząłem pracę przy filmie Jana Rybkowskiego „Album polski” jako asystent scenografa i zdałem sobie sprawę, że film mnie jednak wciąga. Ten dwuczęściowy obraz był dużym wyzwaniem: wiele miejsc zdjęciowych, dekoracji, różne epoki. Poznałem wtedy operatora Witolda Sobocińskiego i innych wspaniałych filmowców. Współpraca z nimi rozbudzała moją wyobraźnię. Dla adepta scenografii była to doskonała lekcja. A że od dziecka lubiłem rysować, najczęściej zapamiętane z dzieciństwa, z opowieści i filmów sceny wojenne, batalistyczne – mogłem się wykazać. W sumie wszystko chyba predestynowało mnie do zawodu scenografa. Mój ojciec Ludwik był znanym scenarzystą, twórcą „Zakazanych piosenek” i „Skarbu”. Jako dziecko poznałem chyba wszystkich polskich twórców filmowych, ukradkiem czytywałem scenariusze, które zawsze były w naszym domu. Miałem talent plastyczny, ukończone studia w akademii i... żadnych mistrzów z mojego pokolenia, których chciałbym naśladować. Zaraz potem pracowałem przy kolejnych obrazach, m.in. przy serialu „Wielka miłość Balzaka” Wojciecha Solarza. Znowu wyzwanie: siedem godzinnych odcinków, kostiumy, dekoracje, stylizacje na połowę XIX wieku. W halach warszawskiej wytwórni powstawało równoległe osiem dużych dekoracji, adaptowaliśmy muzea i pałace. Na planie było dwoje scenografów i tyluż asystentów. Ciężka, ale efektywna praca. Szkoła scenografii, po której otrzymałem opinię najlepszego asystenta scenografa. Potem kilka miesięcy przerwy (wyjechałem do Anglii), a po powrocie propozycja pierwszej samodzielnej realizacji – przy „Chłopcach” Ryszarda Bera, już z pełną odpowiedzialnością za wybory i decyzje. Dla potrzeb filmu znalazłem willę w Konstancinie. Później, po kolejnej adaptacji, wykorzystałem ją na angielski, kolonialny w stylu Klub Marynarza w Bangkoku do filmu Andrzeja Wajdy „Smuga cienia”.

**To pierwszy film z Andrzejem Wajdą spośród czternastu, jakie razem zrobiliście, plus przedstawienie teatralne „Rozmowy z katem” w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Nazywano pana nadwornym scenografem Wajdy.**

- Bardzo ceniłem możliwość współpracy z nim. Poza zrealizowanymi filmami dostałem coś więcej. To on przekonał mnie, że scenografia jest wielką sztuką, że projektując dekoracje, wybierając miejsca zdjęć, dokonując adaptacji obiektów mam znaczący wpływ na efekt, jaki chce osiągnąć reżyser, a w konsekwencji na artystyczny kształt filmu. I że mogę mieć z tego wielką satysfakcję. Doskonale rozumieliśmy się na planie i w życiu, pewnie też dlatego, że obaj zdobyliśmy plastyczne wykształcenie. Dużo rozmawialiśmy, nie tylko o powstającym aktualnie obrazie, i oglądaliśmy. Mam satysfakcję, że stworzyliśmy tandem, który przetrwał tak długo – od 1976 do 2000 roku. Współpracę z Wajdą zacząłem (z współscenografką Teresą Barską) filmem scenograficznie trudnym. Miałem zadanie „wybudować” w Warnie port morski z Bangkoku z końca XIX w., przygotować żaglowiec, co pozornie nie było trudne, bo mieliśmy do dyspozycji angielski statek z epoki – ale jego wnętrza powstały w studiu. Dekoracje zbudowane w Polsce, Bułgarii i Bangkoku Witek Sobociński połączył w całość pięknym, nastrojowym światłem.

**Żałuję, że nie ma wśród waszych wspólnych filmów „Powidoków”. Mogłoby to być doskonale „domknięcie” tego, co tak wspaniale stworzyliście w „Człowieku z marmuru”. Czy zakończenie współpracy to była świadoma decyzja?**

- Ja też żałuję, ale to była już inna epoka. Współpraca się skończyła, bo każdy miał swoje plany, ograniczenia czasowe związane z produkcjami. To w dużej mierze Andrzej Wajda sprawił, że stałem się rozpoznawalny na świecie. A on lubił szukać młodych, nowych współpracowników, co zresztą było zawsze siłą jego kina. Entuzjazm mistrza przekładał się na ekipę, z kolei jej młodość i energia bardzo były mu potrzebne. Ale nasza artystyczna przyjaźń utrzymała się do jego ostatnich dni.

Dalszy ciąg wywiadu można przeczytać w marcowym „Kalejdoskopie” - do kupienia w Łódzki Dom Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press i salonach empik. A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu):  
[https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSef9uNO1G6RKt-b4HEX\\_KIB8o](https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego?fbclid=IwAR0CJwQi1fl7y-1av7GdZlwB82ZmKdxZmMSef9uNO1G6RKt-b4HEX_KIB8o)